



Jan Czyński

JAKOBINI POLSCY

Armoryka

Projekt okładki: Juliusz Susak

Reprint książki:
Jan Czyński
Jakobini polscy. Powieść z czasów rewolucji 1830 r.
Warszawa 1907

Copyright © 2017 by Wydawnictwo „Armoryka”

Wydawnictwo ARMORYKA
ul. Krucza 16
27-600 Sandomierz
<http://www.armoryka.pl/>

ISBN 978-83-8064-351-2

Jan Czyński
Jakobini polscy

Jan Czyński

Jakobini polscy

powieść z czasów rewolucji 1830 roku

**Armoryka
Sandomierz 2017**

Projekt okładki: Juliusz Susak

Reprint książki:
Jan Czyński
Jakobini polscy. Powieść z czasów rewolucji 1830 r.
Warszawa 1907

Copyright © 2017 by Wydawnictwo „Armoryka”

Wydawnictwo ARMORYKA
ul. Krucza 16
27-600 Sandomierz
<http://www.armoryka.pl/>

ISBN 978-83-8064-234-8

1.

Ty nie szydź z przepowiedni, bo niesie
[przysłowie:
Czego mędrzec nie zgadnie, to głupiec
[przepowie.

Chwilowe uniesienia, okrzyki, uroczyste obchody, bale, igrzyska ustały w Warszawie i w całym kraju. Lud polski przekonywał się codziennie, że konstytucya wskutek umów wiedeńskich mu nadana, równie jak przyrzeczenia swobód dla zabranych prowincyi, były mamiłdem, błyskotką, słowami bez znaczenia. Carewicz Konstanty samowolnie rządził ludem do jarzma nienawykłym. Chciał on doskonałą zaprowadzić równość między wszystkimi mieszkańcami, w tem znaczeniu, żeby wszyscy byli niczem, a wola jego wszystkiem. Od najuboższego chłopka do najbogatszego magnata, ludzie rozmaitego stanu i powołania padali ofiarą jego często wyrachowanej, często dziwacznej srogości. Więzienia były napelnione kwiatem młodzieży polskiej, a lud tak go nienawidził i tak się obawiał, iż chowano się do najbliższych domów, kiedy w. książe przejeżdżał

się po ulicach. W zamku królewskim, wspaniale szczyt swój nad mury stolicy wynoszącym, nikt teraz nie mieszkał. Aleksander, król polski, raz do roku odwiedzał Warszawę, a wtenczas wielka chorągiew z czarnym dwugłowym orłem powiewała na najwyższej zamkowej wieży. Orzełek biały ginał między jego skrzydłami, a stulony i posepny zdawał się wstydić, że ten, któremu niegdyś rozkazywał, dziś go w swjej żelaznej trzymał opiece.

Obszerne gmachy, przeznaczone na pobyt chwilowy cesarsko-królewskiej wysokości, zostawały pod dozorem marszałka dworu Grudzińskiego. Zgrzybiały starzec stracił majątek w czasie burz politycznych; dość znaczna jednak pensya ze skarbu publicznego wystarczała mu na przyzwoite acz skromne utrzymanie podeszłej małżonki, oraz dwóch młodych córek: Anny i Joanny. W samotnem życiu i zgrzybiałej starości miał on tę pociechę, że córki jego, wzór cnót domowych, starały się wszelkimi sposobami resztę dni jego uprzyjemnić. Zajmując kilka pokoi zamkowych, często przypominał sobie ważne wypadki młodości swojej, i z boleścią dumnego Polaka, dowiadując się o srogościach, cierpiał nad tem, że jego rodacy znosili je bezkarnie.

Siedział on w tej chwili na długiej sofie, wspierając siwą głowę na safianowej poduszce, i przysłuchiwał się śpiewom historycznym, które mu Joanna czytała. Siostra jej Anna, to-

warzyszac miłymi akordami na fortepianie, umiała łączyć wdzięk mowy wiązanej z wdziękiem muzyki, i melancholiczne śpiewy, czytane, smętno powabnego nabierały wyrazu.

— Przestańcie — przerwał starzec — kiedy mi czytacie zuchwałe przodków naszych spory z królami, nie mogę pojąć, jak mogliśmy przyjść do tego poniżenia, w jakim się dziś znajdujemy. Gdyby dawniej który z wybranych panujących, by w najmniejszym przedmiocie *pacta conventa* lub swobody szlacheckie naruszył, od jednego końca Polski do najodleglejszych granic nie byłoby jednego szlachcica, coby nie ujął za broń, dla ukarania przywłaszczyciela. A dziś, narzucono nam konstytucję, i tę nawet obcą gmatwaninę gwałcą bezkarnie! i nie masz, ktoby się oparł! Zaprawdę, Polaków nie poznaję: jedni starają się o urzędy, godności, inni o tytuły, owi o ordeiry, Bóg wie o co; a wszyscy z założonemi patrzają rękami, jak nas w niewolników moskiewskich zamieniają; kiedy niekiedy, na co się serce kraje, poczciwy jaki młodzieniec, nie mogąc tego znieść, co się dzieje, odbiera sobie życie!

— Ojczy! — przerwała Joanna — na miłość Boga, ciszej; i ściany mają uszy; wszyscy nam powiadają, że tajna policya tak teraz jest urządzona, iż brat nie śmie z bratem bezpiecznie rozmawiać; niedawno wysłano na robotę do Zamościa młodego Gurowskiego za to,

że spalił obraz cesarzewicza, chociaż tego nikt nie widział oprócz jego brata i służącego. Kto wie, kochany ojczu, czy i u nas jaki chytry, utajony nieprzyjaciel nie czyha na zatrucie spokojności domowej. Zostawmy czasowi przyszłość naszą, opatrność jest sprawiedliwa.

— O cóż ci to idzie, Joanno? policz moje lata, a przekonasz się, że mi już niewiele do życia pozostaje. Jeśli mię pozbawią urzędu, który niechętnie piastuję, wierzcie mi, moje dzieci, iż znośniej mi będzie z pracy rąk waszych żyć w niedostatku, niż przy zbytkach być dworzaninem obcego władcy. Jeżeli wbrew sercu memu dźwigam ten czczy tytuł marszałka dworu, czynię to dlatego jedynie, abym na wasz niedostatek nie patrzył, i nie umrę spokojnie, jeśli waszej przyszłości nie zapewnię. Ale czemużbym w waszej obecności nie mógł wynurzyć żalu, który serce udręcza? W tym obszernym zamku żywego nie ujrzysz ducha; czujne straże nie dozwolą nikomu przystąpić bez mojej wiedzy; niepotrzebnie się lękasz, Joanno. Nic brońcie mi przynajmniej narzekać na naszych panów polskich. Czy uwierzycie, że ten książę Czartoryski, co to ród swój od Giedymina i Jagiellów wywodzi, dla utrzymania świetności imienia stara się, aby jego dobra w ordynacyę zamienione były! O! nie w ten sposób przodkowie nasi na sławę i znaczenie zarabiali. Kiedy Rzeczpospolita dozwoliła Janowi Zamojskiemu tego przywileju, uczyniła

to w nagrodę wielkich zwycięstw, wielkich zasług, za dwukrotnem zebranych stanów zezwoleniem. A dzisiaj, dosyć uklonić się i przyrzec ślepe posłuszeństwo i masz nowego ordynata. Otóż to mi potomek Giedymina i Jagielly, minister i sługa. Rozpustna Zajączkowa rozdaje ordery i urzędy hożej i przystojnej młodzieży: widziałem obraz młodego Grzymały w kontuszu, z gwiazdą z łaski cara. Gdyby to mógł widzieć który z znakomitych przodków jego, wydarłby mu tę nagrodę wraz z niewolniczem sercem jego.

— Kochany ojcze — rzekła Joanna, zbliżając się i całując w zasepione czoło zmartwionego starca — porzuć te smutne myśli. To wszystko długo trwać nie może; często długa cisza niespodziewaną poprzedza burzę; często błysnie nam radość, kiedy jej najmniej się spodziewamy. Od niejakiego czasu dziwne biegają wieści: mówią, że cesarz ma zamiar Litwę przyłączyć do Królestwa; że cesarzewicz ma osiąść w Szwajcaryi. Przybywający z Petersburga głoszą, że w wojsku panuje wielkie niezukontentowanie; że odkryto ślad szeroko rozgąłżonego spisku. Mówią, że i tutaj jacyś nieznaní ludzie zgromadzają się w schronieniach podziemnych. To pewno, że jakieś gotują się wypadki; czekajmy, czekajmy, kochany ojcze, a może jeszcze ujrzymy dni pogodniejsze.

Anna, która w czasie tej rozmowy rzuciła fortepian, pragnąc także pocieszyć strapionego

ojca, dodała, iż wszyscy przepowiadają wielkie zmiany w tych czasach.

— Nie dawajcie wiary tym dzieciennym baśniom i niedorzecznym wróżbom — odczwał się starzec i dalej mówiąc sam do siebie spuszczoneym kończył głosem — odkąd przepowiednie dziwnego Wernyhory na niczem spełzły, już teraz najzręczniejszemu szarlatanowi nie uwierzę.

Joanna, która dosłyszala te ostatnie wyrazy, pragnąc odwrócić myśl ojca od smutnych wyobrażeń, rzekła :

-- Już nie raz, ojcze, wspominałeś przy mnie o tym człowieku, i nigdy nie dokończyłeś słów zaczętych; podobno nawet siostra moja Anna, szczęśliwsza niż ja, dowiedziała się od ciebie o jego przepowiedni, z warunkiem jednak, aby mnie tego nie powierzała. Miałażby Joanna tak mało u ciebie mieć zaufania, że jej nie śmiesz powiedzieć tego, co innym udzielasz? Albo sądzisz, że jest tak słabą, iż ją za-trwoży jaka zła wróżba Ukrainca?

— Prawda, Joanno, mówiłem Annie o tym proroku, i milczenie przed tobą za wyraźny położyłem warunek. Cieszę się, że Anna docho-wała tajemnicy; ale nie myśl, ażebym ci nie ufał. lub lękał się ciebie zasmucić. Teraz, gdy wszystko już minęło, mogę ci odkryć słodkie marzenia, które mnie dosyć długo zajmowały. Świetną on tobie przepowiadał przyszłość, a ja tylko dlatego tałem przed tobą te jego urojo-

ne baśnie, aby cię nie wbić w próżność i zarozumiałość.

— Kochana siostró — odezwała się Anna — wielki ciężar zdjął mi z serca nasz ojciec. Nieraz mnie mocno bolało, iż ukrywałam przed tobą tajemnicę. Już teraz Anna nie wie nic takiego, czegoby Joannie nie mogła powierzyć.

— A ja i tobie, ojczy, i tobie, siostró, jestem wdzięczna. żeście tailli przede mną te marzenia, które byłyby może swoim urokiem mogły uludzić młodą wyobraźnię; zwłaszcza, że wiele słyszałam dziwnego o tym szczególnym człowieku, który i upadek Polski i jej zmartwychwstanie przepowiedział. Ale teraz nie lękaj się, ojczy, żadna światowa próżność nie ma przystępu do serca mego: w ustronnym gdziekolwiek Joanna nieznane zakończy życie.

— Nie czyni żadnego postanowienia, córko moja; nieznane są drogi, które opatrność dla człowieka przeczyna... A co do przepowiedni, czemużbym ci jej teraz nie miał odkryć, kiedy i twój rozum jest mi rękojmią, że się nie dasz uludzić słowom bez znaczenia, i wypadki najmniejszego nic przedstawiają podobieństwa, aby marzenia prorockie pochlebnego wieszczą mogły się sprawdzić? Przepowiadał mi Wernyhora — mówił dalej poważnie — że się wyniesiesz nad swoje rówienniczki, jak się w jasną noc księżyc nad wszystkie gwiazdy wynosi; że z monarchów najpotężniejszy z uwiel-

bieniem ścisnąć będzie twe ręce, a dziedzie korony najobszerniejszego mocarstwa będzie klęczał przed tobą, jak najnikczemniejszy z poddanych; że wreszcie mitra książęca spoczywać będzie na twej głowie, i że w rękę twych będą dwie korony; lecz że i takie będą chwile w życiu twojem—przydał cichszym i posepnym głosem—iż zamienilabyś chętnie i mitrę i koronę na ubogą chatę rolnika... ale czas ten będzie krótki, i po nim nastąpi wieczna szczęśliwość...

— Któż to był ten Wernyhora? — spytała ciekawie Joanna.

— Prosty Kozak ukraiński. Nie umiał on ani czytać, ani pisać; ale przecież kiedy zanucił narodową dumę, lub kiedy duchem wieszczym przyszłość przepowiadał, dźwięczna jego mowa blaskiem swym gasiła najkwiecistszych poetów. Dziwiono się, skąd prosty człowiek miał tyle dowcipu i wiadomości; lud tłumem do niego się garnał; czasem mu skromne znoszono dary. Kiedym mu jednak za jego pochlebne słowa chciał rzucić kilka sztuk złota: „zatrzymaj je, odpowiedział z pokorą, ja od ojca mojej pani nie przyjąć nie mogę“.

— To ten sam — odezwała się Anna — co przepowiadał, że Polska powstanie dopiero wtenczas, kiedy rzeki będą krwią płynęły, i kiedy Anglicy połączeni z Turkami znużone konie poić będą w nurtach spienionej Wisły.

— Ojczy mój, nie bierz tego za próżność z mojej strony — rzekła skromnie Joanna —

że ja dodam do tych przepowiedni słów kilka, mających związek z tem szczególnem prorocstwem. Bóg świadkiem, że w sercu mojem nie mieszka pycha i wszystko, coś mi, ojcie, o powiedział, jak i to, co ja jeszcze chcę dodać, uważam za przypadkowe i jak sen przemijające zdarzenia. Razu jednego, kiedym się modliła w kościele farnym przed obrazem Matki Boskiej, prosiłam Najwyższego, aby się zlitował nad nieszczęśliwym ludem polskim, aby przestał go doświadczać i zlał na niego łaski swoje. Dokończyłam właśnie modlitwy, kiedy wtem lekka korona perłowa, zawieszona u obrazu, spadła na głowę moją; lazuruowe światło błysło mi przed oczyma, a stojący obok mnie w czarnym ubiorze starzec poważnym odezwał się głosem: „Błogosławionaś ty, dziewczyno, wielkie przeznaczenie twoje“. Tej samej nocy śniło mi się, że generałowie, dworscy, że wszyscy najznakomitsi polscy i rosyjscy panowie oddawali mi hold i uszanowanie; ale obok tego straszyl^v mnie jakieś okropne widziadła, bunty, rozruchy, krew, pożary, powietrze, zniszczenie...

— I czegoż zamysliłaś się, Joanno? coby w tem było nadzwyczajnego, gdyby Joanna Grudzińska odbierała hold uszanowania od książąt i panów cudzoziemskich? byłaby to pierwsza z polskich szlachcianek, coby ozdobiła skronie mitrą lub koroną? Ale nie myślmy o tem, dziś przy zepsuciu obyczajów nie do-

brego wróżyć sobie nie można, i prędzej Polska zostanie gubernią moskiewską, niż uboga Joanna hrabianka Grudzińska wielką księżną litewską lub królową polską.

Po tej rozmowie nastąpiło mileżenie. Starzec, zagniewany na polskich magnatów, którzy utracili znaczenie i majątki chcieli odzyskać przez uniżoność i podłą uległość, marszczył posępne czoło, a potrząsając głową, wymawiał niekiedy imiona panów, których postępowanie go obuzalo. Po krótkiej chwili zasnął, a córki, nie chcąc mu przeszkadzać, oddaliły się z cicha do przyległego pokoju.

II.

Służba idzie piorunem, gdy służy się boją.
Pan skinął: bieżną, pędzą cwałem — skinął, stoją.
Zmarszczył się: wszyscy w trwodze; rozweselił
[czoło,
A wnet służba udaje, że także wesolą.

O godzinie jedenastej rano, codziennie, odbywała się na placu Saskim wojskowa parada. Na obszernym dziedzińcu manewrowały wygodnie dwa pułki piechoty i szwadron jazdy: piechota zwykle stała w wyciągniętych dwóch liniach, stykających się pod kątem prostym, który w swoich ramionach rozległy kwadrat obejmował. Konni żołnierze stali w czterech rogach placu na straży, wzbraniając przystępu powozom, a rozrzucony po wszystkich

punktach policyjanci pilnowali, aby lud ciekawy nie przestępował naznaczonej linii, którą wytknęła troskliwość o bezpieczeństwo świętej osoby cesarzewiczowskiej; liczni ajenci tajnej policyi wciskali się pomiędzy tłumy ciekawych. Każdy przegląd tego rodzaju był śmiertelnem torturami dla dowódców, których lada uchybienie żołnierza mogło przyprawić o degradacyę, wygnanie lub więzienie. Często guzik źle zapięty, haftka niedobrze przyszyta, niszczyły kilkunastoletnie zasługi starego wojskowego. Cesarzewicz nie czynił różnicy i stopniowania w przestępstwach; wszystko u niego było zuchwalstwem, niekarnością, zbrodnią obrażonego majestatu. Nazywany powszechnie Neronem belwederskim, tak był rozmaity w swoim postępowaniu, iż najbliżsi nawet jego dworacy nie mogli odgadnąć jego humoru. Niekiedy za jedno nie zżymał się, wściekał, tupał nogami i często własną ręką karał ofiarę, która mu się nastreczyła. Niekiedy patrzył przez szpary na widoczne i ważniejsze wykroczenia. Zwierzęta nawet musiały się stosować do jego humoru, albo raczej odnosiły karę za niezrozumienie woli ich surowego pana. Raz małpę kazał powiesić za to, że się zbyt głośno w klatce trzepotała; koniowi, który się potknął, kazał tysiąc kijów wyliczyć; psa kazał zastrzelić, że go w nocy bezpotrzebnie przebudził.

Pewna dzikość przebijała się w cesarze-

wieczu nawet wtedy, kiedy był w dobrym humorze: śmiał się do rozpuku, rzucał się na sofę, tupał nogami, klaskał w ręce. Jeśli kiedy spotkał młodego chłopca, który mu się podobał z wejrzenia, klepał go po ramieniu, obracał w koło, kazał się pocałować i nie puścił, nie zakręciwszy mu nosa, uszu, albo nie uszczypnąwszy w zarumieniony policzek.

Żywy, namiętny, czynny, bystry, niekiedy czuły, zabawny, śmieszny, a zawsze nieodgadniony, wzbudzał czasem podziwienie i litość. Bo lud przypisywał nadużycia jego więcej burzliwości temperamentu, aniżeli wyrachowanej polityce.

Niesforny huk bębnow różnego kalibru, odgłos trąb wojennych i dźwięk pomieszany janczarskiej muzyki oznajmiły, że zbliża się wielki książę, wódz naczelny wojska polskiego i korpusu litewskiego. Zastygło w sercu niejednemu żołnierzowi, a ci, co piersi swe z spokojnością na strzały nieprzyjacielskie narażali, oczekiwali z trwogą przeglądu narzuconego im wodza. Przechodził zwolna wzdłuż szeregu, oglądał od stóp do głów każdego żołnierza pojedynczo, a najmniejsza jednostka nie uszła jego bystrego oka. Za nim postępował liczny sztab, składający się z wojskowych polskich i rosyjskich; lśniły się powiewające pióra, błyszczały gwiazdy, ordery, wstęgi, a obok tej szumnej pstrokacizny widać było jak wszystkich niespokojne oczy zwracały się na cesarze-

wicza, aby uważać, odgadnąć i wyprzedzić jego rozkazy. Jeżeli on skinął na którego z wojskowych, błyskawicy pędem spełniała się jego wola. Niejeden spaśły pułkownik z wiszącym podbródkiem i ogromnym brzuchem, musiał biedz klusem, kiedy go jego cesarzewiczowska mość zawołała. Ziemia jęczała pod krokami, pot lał się z twarzy, ale on szybko się zwijał, odbierał i wypełniał dane rozkazy. Między innymi stary i osłabiony generał Kieki, musiał także przyśpieszać kroku, chociaż często narzekał na nieposłuszne nogi i na wiek, który się woli opierał. A jeżeli kiedy skinął wielki ksiązę na którego z młodszych wojskowych, mało na twarz nie padali gorliwi adjutanci. Ale gdybyś obok tego czytał, co się działo w sercach żołnierzy, którzy pole tryumfów i chwały zamienili na bezużyteczne lustracye, byłbyć poznał, że to były lwy w klatce, powolne rozkazom swojego dozorecy, ale które lada moment mogły przelamać kraty więzienia i odzyskać majestatyczną godność swoją.

— Wielki Ksiązę dziś w dobrym humorze— mówił młody hrabia Zamojski, adjutant cesarzewicza, do generała rosyjskiego Kuruty, Gieka z urodzenia.

— Sława Bohu! — odpowiedział dawny nauczyciel Konstantego, a dziś jedyny jego zaufany powiernik. Jakoż istotnie ksiązę przeszedł obie linie i szczęśliwem zdarzeniem nie takiego nie znalazł, coby mogło otworzyć po-

le dla jego popędliwości. Jeszcze podług zwyczaju potrzeba było tylko, aby oba pułki plutonami zwyczajnym i podwójnym przemaszerowały krokiem, a wszyscy, których dzień ten wystawiał na próbę książęcej łaski, mogli sobie powinszować, że przez morze przepaści szczęśliwie przepłynęli.

Wielki Książę stanął na środku placu: na przeciw niego dobrana muzyka czwartego pułku piechoty odgrywała marsz Kurpińskiego na nutę „God save the king“. Plutony w różnych odległościach z matematyczną precyzją przechodziły podobne do ruchomych machin.

Cesarzewicz ubrany był w mundur zielony strzelców konnych; różnobarwne pióra powiewały na kapeluszu, który w poprzek czola tak był mocno pochylony, iż jednym rogiem ledwie nie dotykał prawego ramienia; na wążkiem, szerokimi marszczkami pokrajanem czole długie brwi jasne prawie zasłaniały małe bury oczy. Nos krótki, ścięty i w górę zadarty, spodnia warga mocno naprzód wystawiona i ogół rysów okrągłej wydatnej twarzy doskonale malowały jego surowość, dzikość i zmiennosc uczuć. Szyję miał tak krótką, iż zdawało się, że głowa spoczywała na szerokich barkach; ręce prawie zawsze trzymał wyprężone i pięści ściśnione, a niespokojnemi nogami wybijał takt zgodnie z przygrywającą muzyką. Głos jego urywany, chropowaty miał w sobie coś szczególnie nieprzyjemnego. Na

piersiach cesarzewicza widać było gwiazdy Ś. Stanisława i Ś. Anny, a cała jego postawa przedstawiała człowieka mocno zbudowanego i niepospolitej siły.

Już drugi pułk zaczynał przeciągać i wszystko wróżyło pomyślny koniec przeglądu, kiedy nagle od strony Krakowskiego Przedmieścia dał się słyszeć gwar żandarmów, policyantów i żołnierzy. Cały ten chór na straży będących wstrzymywał konie z powozem, które, pomimo wszelkich usiłowań woźnicy, przestały linie i posunęły się nieco za daleko na plac.

Ledwie to spostrzegł cesarzewicz, natychmiast przyśpieszonym krokiem, z zagniewaną twarzą rzucił się ku miejscu, gdzie nieład przez zbytek gorliwości coraz się powiększał.

Wszystkich oczy zwróciły się na gotującą się tragiczną scenę, a każdego serce napelniało się goryczą, przewidując jakieś nadzwyczajne zdarzenie.

— W nieszczęśliwą godzinę musiał się urodzić ten biedny woźnica, mówili jedni, pewnie dziś zginie pod kijami. Książę i tym trzem kobietom nie przebaczy, co siedzą w powozie, myśleli drudzy, kto wie, co się z żandarmami stanie, powtarzali inni. Ale szczególnie zajmowała wszystkich obecnych młoda najwięcej siedemnastoletnia piękna dziewczica, która odważniejsza od dwóch drugich kobiet, poćobna do anioła-pocieszyciela, zdawała się mocy doda-

wać towarzyszkom, tracącym przytomność na widok grożącego niebezpieczeństwa i zbliżającego się pędem cesarzewicza. Wielki Książę, posunąwszy się o kilkadziesiąt kroków i rzuciwszy okiem na piękną nieznajomą, stanął w miejscu, jak wryty.

Jasne włosy, spadające w rozrzuconych puklach, dodawały cudownego wdzięku twarzy rzadkiej białości, na której pomimo otaczającego niebezpieczeństwa, anielska panowała spokojność. Jej niebieskie, pełne wyrazu oczy, przejmowały mimowolnem poszanowaniem tego, czyj wzrok napotkał jej uroczę wejrzanie.

Tymczasem nieznajomy wojskowy z rozkazu wielkiego księcia przywołał do porządku tłum okolo koni i powozu zebrany, a konie, które natłok przerażał, po oddaleniu się zanadto gorliwych żandarmów, stały jak najspokojniej. Nieznajomy, zbliżając się do powozu, odezwał się do najśmielszej, która wszystkich najwięcej zajmowała:

— Jego Cesarzewiczowska mość kazał się zapytać, czy zanadto skwapliwa gorliwość służby wojskowej nie przerażała dam, które chciały zblizka przypatrzeć się obrotom wojskowym, i rad jest wiedzieć, kogo przypadek ten tak blisko jego osoby sprowadził.

— Prosimy złożyć najpokorniejsze podziękowanie Jego Cesarzewiczowskiej mości — odpowiedziała dziewczica w bieli — że raczył

na nas zwróć swoje łaskawe oko, a razem chciejcie zapewnić go, że zamieszanie, do którego dałyśmy powód, nastąpiło bez naszej winy i woli, chciejcie przytem dodać, że wspomnieniu imion naszych byłoby tylko wymówieniem kilku słów bez znaczenia, żyjąc bowiem samotnie, oddalone od świata jesteśmy zupełnie nieznane; szczególnemu tylko przypadkowi przypisać należy, że tu się znajdujemy wbrew naszemu życzeniu.

— A więc ja mam zamilczeć — odpowiedział nieznamy — że to Joanna Grudzińska ściągnęła uwagę brata cesarza i króla polskiego.

— Jeżeli was zapytają — dodała Joanna — cośmy wyrzekły, raczcie odnieść naszą odpowiedź, a jeżeli was zapytają o inne szczegóły, nie do nas należy kierować wyrazami waszymi.

Nieznamy tylko powrócił do cesarzewicza, który nie umiał ukryć swojego pomieszenia. Śpieszniej, niż zwykle, zakończył przegląd, a oddalając się od palacu Bryłowskiego, skłonił się damom, które mu nawzajem skromnym odpowiedziały ukłonem.

Tak niespodziane rozwiązanie sceny, która według wszelkiego podobieństwa powinna się była zakończyć tragicznie, ucieszyło obecnych.

Wojsko ustępowało z placu; ciekawi rochodzili się, powozy wracały do domu, ucichła

wizawa, wdali gubily się ko i jące tony woj-
skowej muzyki, a plac marsowy opuszczony w
tej chwili, był podobny do grobu, co po bu-
rzach życia przedstawia doskonałą spokoj-
ność.

III.

*Gdybyś znał książąt troski, trudy niezliczone,
Nie miałabyś twej chatki za królów koronę.*

Obok saskiego dziedzińca, w placu Bry-
lowskim, przytykającym do pięknego ogrodu,
miał swoją rezydencję cesarzewicz. W małym
dziedzińcu był odwach, składający się z jedne-
go plutonu piechoty. Wszystkie bramy, prze-
chody, podwoje, otoczone były zbrojną
strażą, tak, iż gmach cały wydawał się
raczej więzieniem, niż mieszkaniem nastę-
pcy tronu rosyjskiego. Szerokie i wygodne
schody prowadziły do licznych i wspania-
łych, ale niezmiernie oszczędnie i skro-
mnie ozdobionych pokojów. W pierwszej sali
oczekiwali adjutanci na rozkazy, które co chwi-
la odbierali i odnosili, w pobocznej zbierali się
ludzie rozmaitego stanu i powołania, któ-
rych cesarzewicz przed sobą stawić policyi
rozkazał. Z bladych twarzy i spuszczonego
oczu łatwo było poznać, iż każdy z nich rach-
wał się z swoim sumieniem i był przygotowa-
ny na wszelkiego rodzaju męczarnie. Dalej w
mniejszych nieco sali oczekiwali wojskowi wyz-

szego stopnia, ministrowie, naczelnicy wydziałów, którym cesarzewicz stosownie wydawał polecenia, bo chociaż wielki książe miał tylko powierzone sobie, według tytułu, naczelne dowództwo wojska, w rzeczy samej sprawował całą władzę i był istotnym samowładcą w tej części Polski, która się dostała z tytułem królestwa pod panowanie rosyjskiego domu. Pułkownik Aksamitowski, komendant placu i wice-prezydent miasta, Lubowicki, przechodząc z sali do sali, uczyli zgromadzonych, jakie przepisy i formy mieli zachować w czasie posłuchania u jego cesarzewiczowskiej mości, w jakiej postawie stać, jak się pokłonić, kiedy zaczął mówić i kiedy odejść; wszystko to najsurowsza obojmowała reguła, a od ścisłego zachowania tych form, które obejmowały w drobnych podziałach przepisy dla nóg, rąk i oczu, zależał często dobry lub zły humor jego wysokości. Opodał w głębi był gabinet, w którym cesarzewicz pracował i niekiedy dawał posłuchania. W tej chwili trzymał on w ręku papier i kolejno przeglądał jedne po drugich raporta; obok niego faworyt, mały jenerał Kuruta, tonąc w obszernym fotelu, był zajęty pisaniem. Naprzeciw cesarzewicza stał jenerał jazdy, dowódca żandarmeryi i naczelnik tajnej policyi, pogardzony i znienawidzony od Polaków, Rożniecki. Zatapiając dzikie, małe oczy w bystrym cesarzewicza wzroku, chciał wyczytać, jakie na nim wrażenie robią odczyty-

wane papiery. Jego długi, ściągły nos orli, wynędzniała twarz i ściśnione usta zaraz na pierwsze wejrzenie przejmowały jakimś odpychającym wstętem, a cała wychudła postawa okazywała człowieka, co przez rozwiązłe i rozpustne życie przyspieszył sobie starość; mimo tego przecież dość był ruchawy i zwinny. Książę, skończywszy czytanie ostatniego raportu, rzucił surowe wejrzenie na stojącego przeciw sobie generała i zawołał:

— Żle, źle mi usługujesz. Przeglądam starannie wszystkie papiery i nie znajduję w nich najpotrzebniejszych wiadomości. Skądinąd dochodzą mnie ważne doniesienia, którebym pierwiej od ciebie edbierać powinien. Cóż masz ważnego w tej ramocie? oto że kilku uczniów z uniwersytetu nosi białe kapelusze i narodowe czamary, że w Kaliszu szlachta krzyczała, popiwszy się na obiedzie, i że wreszcie ksiądz u kapucynów miał kazanie o sprawiedliwości i o sądzie na złych monarchów. Wszystkie te i tym podobne zuchwalstwa są ważne i muszą być powściągnięte, ale zarazem są tego rodzaju, że je może donieść pierwszy lepszy policyant. Ale od ciebie, naczelnika najważniejszego wydziału, ja chcę istotniejszych wiadomości. Najmniej niebezpieczne są te nieroztropne młodziki, co przez zewnętrzne oznaki swoje zuchwalstwo odkrywają. Cóż może przedsięwziąć kilku głupców, co przy winie rozmawiają o narodowości? Czyliż wreszcie bać się